

Przerwać spektakl

28 grudnia 2011

Marks miał rację! Miał rację twierdząc, że państwo jest organizacją klas posiadających, ponieważ w XIX stuleciu – gdy nawet w krajach dysponujących parlamentami obowiązywał cenzus majątkowy – taka była rzeczywistość. Jednak od tego czasu wiele się zmieniło. Bardzo wiele.

Najpierw postępująca demokratyzacja sprawiła, że klasy niższe zyskały wpływ na państwo. Z organizacji klasowej stało się ono wówczas strukturą międzyklasową. Oczywiście w jej ramach znaczenie różnych warstw nie było wprost proporcjonalne do ich liczebności, jednak choć bardziej liczyła się zamożność czy wykształcenie, mimo wszystko wpływ klas niższych na politykę państwa stawał się realny. Można tu rzecz jasna wybrzydzać, że „demokracja burżuazyjna” to demokracja pozorna, że niezliczone instrumenty manipulacji w rękach posiadaczy deformowały wolę ludu. Fakt, że w żadnym kraju drogą parlamentarną nie została przeprowadzona rewolucja socjalistyczna. Ale też trzeba być ślepym, by nie dostrzec związku między rozszerzaniem praw wyborczych a budową welfare state w rozwiniętych krajach Zachodu: od Bismarcka przez Roosevelta po Palmego.

Później jednak nastąpiło załamanie tego modelu. Pierwszym winowajcą jest globalizacja, sprawiająca, że realna władza uszła poza państwo: do organizacji międzynarodowych i ponadnarodowych koncernów. W rezultacie głos obywateli w wyborach staje się mniej ważny od głosu rynków finansowych. Wystarczy, że te groźnie zmarszczą brew, a „suwerenne” rządy uciekają do budy z podkulonymi ogonami. W takich warunkach wybory stają się farsą. W ten sposób dokonało się to, co już przed czterdziestu laty opisywali sytuacjoniści: „społeczeństwo spektaklu”.

Drugi powód pośrednio wynika z pierwszego: globalizacja, turbokapitalizm przynoszą ogromne zyski nielicznym. Pojawiła

się klasa spekulacyjnej hiperburżuazji, żyjącej ponad anachronicznymi strukturami państwowymi. Dużo liczniejsze od warstewki turbokapitalistów są zastępy „klasy średniej”, pełniące wobec tych pierwszych taką rolę, jak szlachecka klientela wobec magnatów.

Bogatym państwo przestaje być potrzebne. Mają dość pieniędzy, żeby kupić sobie wszelkie usługi. Stać ich na prywatne szkoły, kliniki i ubezpieczenia, na wakacje spędzane z dala od „hołoty”, na mieszkanie w luksusowej enklawie, na wynajęcie agencji ochroniarskiej, bez porównania skuteczniejszej niż policja. To prawdziwi obywatele Pierwszego Świata, ich paszportem jest karta kredytowa. Jacques Attali kreśli wizję globalnego społeczeństwa przyszłości, w której klasę panującą będzie stanowiła kosmopolityczna kasta wysoko kwalifikowanych nomadów.

Na łaskę i niełaskę tychże zdane są dziś rządy. Zygmunt Bauman opisuje proces dobrowolnej abdykacji państwa: z premedytacją zrzuca się ono swoich prerogatyw na rzecz wędrownego kapitału ponadnarodowego. Rządy mają już tylko jeden cel: zapewnić owemu kapitałowi jak najlepsze warunki. Natomiast obywatele, przypisani – z konieczności – do ziemi, są stopniowo wyzuwani ze swych praw, a zwłaszcza z prawa stanowienia o losach państwa. Większość państw to (według określenia Baumana) „okręgi policyjne”, protektoraty wielkich koncernów.

Co robić? Ruchy opozycyjne bądź to bezradnie drepczą w miejscu, bądź to desperacko rzucają się na oślep w poszukiwaniu mniej lub bardziej fantastycznych rozwiązań.

Metoda pierwsza, preferowana przez neoreformistów (tj. socjaldemokratów i alterglobalistów typu Negriego), to ucieczka do przodu – marzenia o demokracji kontynentalnej czy nawet globalnej. Przyznam, że pozostaję nieodmiennie sceptyczny wobec tej utopii. Jak by to miało działać? Demokracja bezpośrednia jest w takiej skali nierealna. Ktoś powie, że demokracja bezpośrednia jest nierealna również w

skali wielu państw narodowych. Odpowiadam: demokracja ma sens wtedy, gdy legitymizuje ją woła jakiejś samoświadomej zbiorowości – ludzi, którzy nie tylko mówią o sobie „my”, ale też czują się ze sobą emocjonalnie związani i dlatego skłonni są do wzajemnych ustępstw. Naród taką zbiorowością jest – ludzkość nie jest. Co więcej – nie będzie.

Nie będzie też takową – przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości – Europa. Decyduje o tym proste prawo psychologiczne: pojęcie „my” definiowane jest zawsze w opozycji do pojęcia „oni”, musimy więc czymś się odróżniać. Tymczasem Unia Europejska zbudowana jest na fundamencie wartości pretendujących (nieważne, na ile realnie) do bycia uniwersalnymi. To piasek, nie skała.

W przeciwnym kierunku idą anarchiści, przynajmniej ta część z nich, która nie chce ani faktycznej kolaboracji z Systemem za parawanem Politycznej Poprawności, ani społecznego awanturnictwa. Chcą oddolnej samoorganizacji społeczeństwa, które ma tworzyć niezależne od państwa i kapitału enklawy, „stałe strefy autonomiczne”, które w przyszłości, połączywszy się, obalą obecny ustrój. Problem w tym, że i ta koncepcja jest utopijna, z powodu dezintegracji społeczeństwa i kontroli mas przez media. Masy zostały zatomizowane i spacyfikowane. Uśpiono je. Co robi człowiek zamożny po pracy? Idzie do pubu, na fitness, na tenisa, jedzie na wycieczkę. Co robi człowiek biedny? Siada przed telewizorem. Biedni wycofują się z życia społecznego w dużo większym stopniu niż bogaci. Wstydzą się zabierać głos publicznie. A gdy już to robią, to najczęściej powtarzają komunały zasłyszane w mediach. Środki masowego przekazu pozbawiły ich intelektualnej autonomii, pozostają oni pod ideologiczną okupacją.

Ale brodzenie w czarnowidztwie jest bezpłodne. Znów nawiążemy do Marksa – nie chodzi tylko o to, by świat opisywać, lecz także o to, żeby go zmieniać. Nie wystarczy postawić diagnozę, trzeba zaproponować kurację. Kilkanaście lat temu opublikowałem w brytyjskim periodyku „Alternative Green”

króciutki tekst pt. „Reclaim the State” (nawiązujący do kampanii „Reclaim the Streets”). Stwierdziłem w nim m.in., że należy odzyskać państwo i uczynić zeń rodzaj „strefy autonomicznej” wobec ponadnarodowego kapitału. Ponieważ państwa pełnią dziś rolę żywicieli dla kapitału spekulacyjnego, właściwą strategią byłoby odcięcie pasożyta.

Ale jak to uczynić, jak odzyskać państwo dla obywateli?

Po pierwsze, należałoby sformować jak najszerszy sojusz wszystkich – coraz liczniejszych! – klas degradowanych przez turbokapitalizm. To nie tylko tradycyjny sektor pracowniczy, to także prekariat, to nowe warstwy średnie („białe kołnierzyki”), to również samozatrudniający się (wliczając tu resztki rolników). Coś takiego proponowali pod szyldem „demokracji antymonopolistycznej” eurokomuniści w zamierzonych latach 70. XX w. Tu najtrudniej będzie wyeliminować zadawnione antagonizmy i resentymenty pomiędzy poszczególnymi składowymi potencjalnego sojuszu, ale w obliczu wspólnego wroga jest to możliwe.

Po drugie, ów sojusz musiałby wstąpić w szranki wyborcze, żeby wykorzystać formalne, konstytucyjne prawa obywatelskie, zwłaszcza prawo do stanowienia o własnym życiu i własnym kraju. Demokracja nie działa, bo jest nieużywana – trzeba ją reanimować, trzeba z państwa na powrót uczynić instrument społeczeństwa. Tu pojawia się jednak trudność zasadnicza: korumpujący wpływ władzy. Ileż to razy byliśmy świadkami, gdy popularni politycy, zdobywszy ster rządu, realizowali politykę odwrotną od zapowiadanej, albo gdy ludowe ruchy protestu degenerowały się w sitwy karierowiczów.

I dlatego, po trzecie, „partia demokracji antymonopolistycznej” powinna przyjąć formułę bazującą na osiągnięciach anarchistycznej taktyki samoorganizacji. Miałby to być – wedle hasła antyglobalistów – „ruch ruchów”. Mówiąc konkretnie: ani amorficzny populizm, ani leninowska „partia nowego typu”, oparta na „centralizmie demokratycznym”.

Właściwą formułę odkryli już stulecie temu brytyjscy związkowcy, tworząc Partię Pracy, która była federacją związków zawodowych. Również współczesna „partia demokracji antymonopolistycznej” powinna mieć tylko członkostwo zbiorowe – organizacje reprezentujących konkretne grupy społeczne. Zasada delegacji w połączeniu z mandatem imperatywnym chroniłaby ruch przed alienacją i oligarchizacją.

Po czwarte – niezbędny jest inter-nacjonalizm: obrona państwa narodowego skoordynowana w skali międzynarodowej. Zwycięstwo demokracji antymonopolistycznej w jednym kraju to za mało. A zatem: solidarność przy wzajemnym uszanowaniu tożsamości i autonomii.

Czy taki ruch miałby szansę zwyciężyć? Obiecać nic nie można, proroctwa szczęśliwego świata rzadko się spełniają. Optymizm to tchórzostwo, jak mawiał Spengler. Możemy mieć tylko nadzieję, że wydarzenia potoczyłyby się tak, jak w „Gwiezdnym wojnach”, gdzie obrońcy Starej Republiki ostatecznie wygrali z Imperium.

Autor: Jarosław Tomasiewicz

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Tomasiewicz (ur. 1962) – doktor nauk politycznych, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego, publicysta, autor książek „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)” (2000), „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery” (2000), „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej” (2003) i „Zło w imię dobra. Zjawisko przemocy w polityce” (2009), a także wielu tekstów publicystycznych i naukowych. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.